Czar Maroka

Sofia Jabłońska

przełożyła
Iwona Boruszkowska

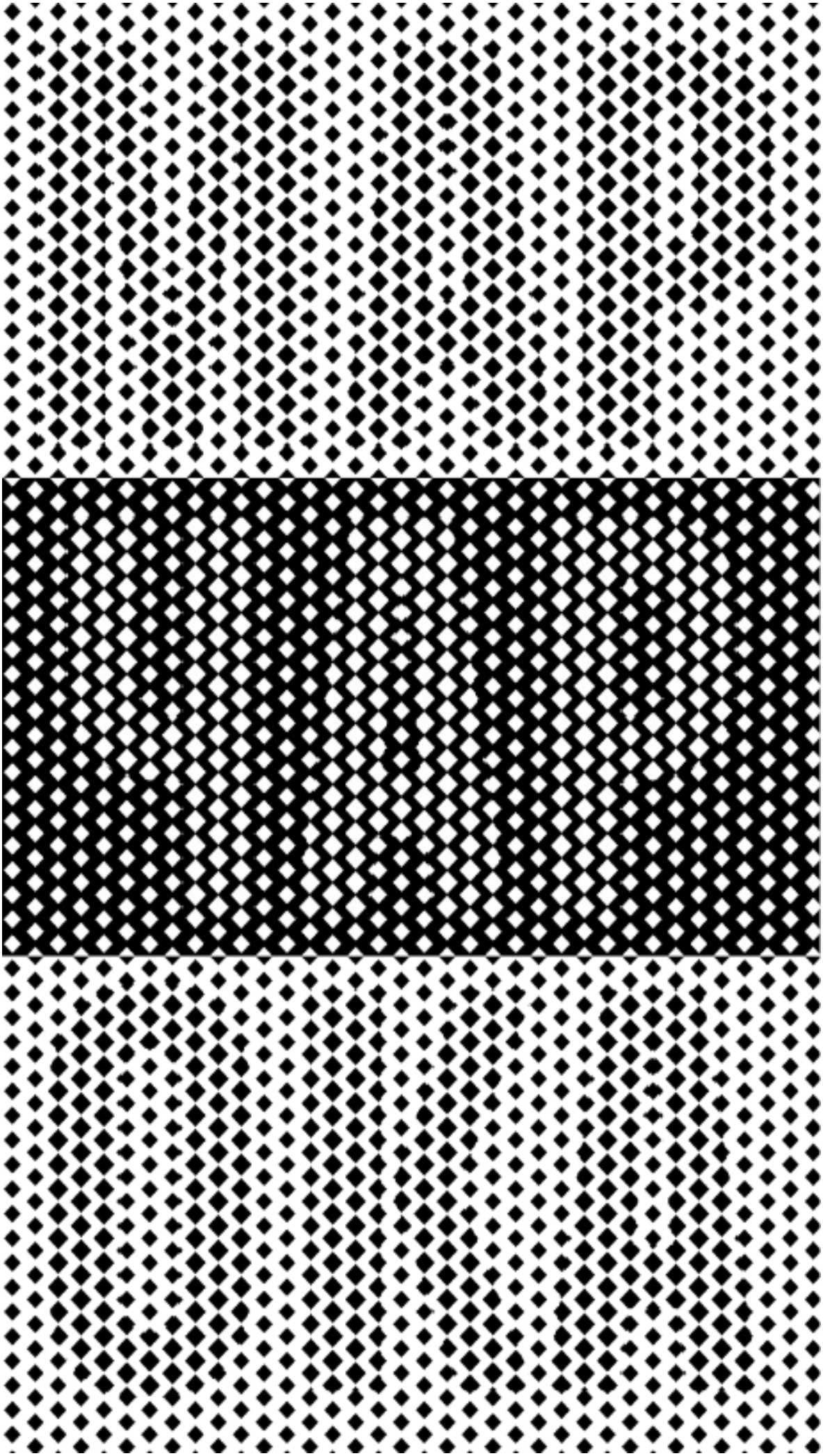

Sofia Jabłońska

Czar Maroka

Przełożyła
Iwona Boruszkowska

Warsztaty Kultury / Lublin 2025

Seria wydawnicza

Wschodni Express

Marsylia

Pociąg ruszył ku słońcu! Ku błękitnemu niebu! Na południe!

Tuf-tuf-tuf, tuf-tuf-tuf! Na południe!

Radosne bicie mojego serca zlewa się z radosnym turkotem stalowych kół.

Tuf-tuf-tuf! Na południe, do Marsylii, a stamtąd jeszcze dalej na południe – do Afryki.

Około północy serce już przywykło do turkotu, uspokoiło się, oparłam głowę na miękkim zagłówku, wtuliłam się w kąt i zasnęłam.

Bladoróżowe niebo przywitało moje rozbudzone spojrzenie; krzyknęło… i przywarło do szyby.

Ze zdumienia zamrugałam powiekami, a rękoma zaczęłam przecierać okno. Cóż za mara! Wszystko białe! Rozległe pola, drzewa, wzgórza zasypane grubą warstwą śniegu.

Z niepokojem zwracam się do mojego sąsiada:

– Proszę pana, czy ten pociąg na pewno jedzie do Marsylii? Obawiam się, że pomyliłam kierunki.

– Nie, droga pani – odpowiada żartobliwie współpasażer. – Od tygodnia te pociągi ciągle się mylą i wiozą nas do krainy śniegu.

A więc taka to historia! Kto by przypuszczał, że tak było mi śpieszno do śniegu, że ciężko było na niego zaczekać w Paryżu! Dwie godziny uważnie patrzyłam przez okno, wyglądając, aż zniknie ten biały krajobraz. Lecz Marsylia zrobiła dla mnie wyjątek i powitała mnie w bieli, niczym kapryśna dama, która na przekór zwyczajom stroi się dla wybranków w wyszukane szaty. Radosna, ruchliwa Marsylia!

Ulice pełne gwaru, aut, tramwajów i wolności. Szoferzy lekceważą wszelkie przepisy: jeżdżą w prawo, w lewo, szybko pod górę, a powoli w dół i gdy zechcą, zatrzymują auta na środku ulicy. Na skrzyżowaniu stoi policjant i wykonuje rozmaite ruchy – wskazuje kierunek swoją pokaźną, ale przez nikogo niedostrzeganą pałką.

Zaszłam do starego portu i weszłam do kawiarni, skąd widok otwiera się na nadmorski brzeg, rzędy starych statków, a dalej na bezkresne morze. Pod ścianą obok kawiarni leżą napełnione węglem worki, a na nich siedzi troje dzieci. „Wygrzewają się w słońcu”, pomyślałam, lecz ono jest tak słabe, blade, że ledwie ozłaca śnieżną powierzchnię.

Chłopcu, który siedzi na workach, długie, pokrzywione spodnie zwisają jak harmonijka, czarna bluza obciska chuderlawy korpusik, jego głowa jest na hiszpańską modłę obwiązana czerwoną chustką, w rękach pęczek kolorowych papierków. Uznałam, że trzyma je z miłości do barw, lecz i tym razem się myliłam, bo chłopiec zeskoczył z worków, zaczął tańczyć charlestona, zbliżać się do kobiet, wysuwając swoją żebraczą miskę. Preferuje kobiety, gdyż na urok kolorowych papierków i zabawnych ruchów są wrażliwsze niż mężczyźni. Za każdym razem, gdy rzucają mu pięć czy sześć sou *, chłopiec biegnie do swojej siostry, która siedzi na workach, trzymając na kolanach dziecko w powijakach, i podaje jej blaszaną miseczkę. Ona zgrabiałą od chłodu ręką zbiera drobniaki, chowając je w kieszeni wytartej spódnicy.

Dziewczynka nagle coś ciekawego zauważyła, wyciągnęła głowę, po czym oddała zawiniątko chłopcu i zaczęła ostrożnie schodzić z worków. Nogę miała aż do kolana w gipsie. Jej smutne, błękitne oczy zapłonęły iskierką nadziei, gdy szybko podeszła do zbliżającej się kobiety. Po ich zachowaniu widać było, że spotykają się codziennie. Ta garbata kobieta każdego dnia wyciąga ze swojej brązowej torby bułeczkę posmarowaną masłem i kawałek czekolady owinięty w złoty papierek, z czułym uśmiechem podając to drobnej blondynce z niebieskimi oczami.

Garbata kobieta odeszła, a dziewczynka przejęła od chłopca zapłakane, niezadowolone podrygami charlestona niemowlę i pokuśtykała w dół skrajem starego portu.

Chłopiec znów zaczął wymachiwać pękiem kolorowych papierków, podskakiwać, wyciągać miseczkę i ruszył za dziewczynką, nucąc pod nosem melodię charlestona.

* Francuska moneta 1 sou to 5 centymów (Jeśli nie podano inaczej, przypisy pochodzą od autorki – uwaga tłum.).

Notre Dame de la Garde *

Z lewej strony morskiego wybrzeża, na samym szczycie góry, pod niebem rysują się kształty jakiejś tajemniczej budowli, owiniętej śniegową chmurą.

Kelner podszedł do mojego stolika i zaczął powolutku przecierać krzesła ścierką. Czynił to bez pośpiechu, rzucając od czasu do czasu spojrzenia na moje sportowe buty, jasny płaszcz przeciwdeszczowy i dużą podróżną torbę, rozważając przy tym trudną zagadkę:

„Amerykanka (niby ja) czy nie? Bo jeśli Amerykanka, warto by zacząć pogawędkę".

„No dobrze, niechże będę ci już tą Amerykanką, ale jednak ciekawa jestem, co to za zjawa stoi tam na górze", pomyślałam i spytałam na głos:

– Proszę łaskawie powiedzieć, czy jest jakaś komunikacja do tego zamku, który widać tam na widnokręgu?

– Tak jest, proszę pani. Tramwaj numer 58. Zatrzymuje się tam na rogu i podwozi do windy kościoła Notre Dame de la Garde.

Po tym niefortunnym pytaniu o „jakąś komunikację" marzenia kelnera o moim amerykańskim pochodzeniu rozwiały się równie szybko, jak moje o zaczarowanym zamku.

– Niech pani tam pojedzie – dorzucił kelner. – Kościół jest piękny, a stamtąd całą Marsylię pani zobaczy. Wszyscy turyści tam jeżdżą.

Turyści!

Słowo to nie przypadło mi do gustu, ale perspektywa widoku na całą Marsylię zwabiła mnie aż do samej windy.

I rzeczywiście, napotkałam tam gromadkę nieszczęśliwych turystów narzekających na marsylskie nieporządki. Jakaś Amerykanka z oburzeniem mówiła do swojego towarzysza:

– Niepotrzebnie przyjechaliśmy do Marsylii! Miało być ciepło, a jest śnieg, zamiast zieleni – błoto, zimno, a na domiar złego ta głupia winda się zepsuła.

Aparat fotograficzny w jej rękach ponuro świecił czarnym szklanym okiem.

Ucieszyłam się na widok odchodzących turystów i, podszedłszy do robotnika stojącego w drzwiach pobliskiego garażu, zapytałam go, czy nie ma innego niż winda cudownego sposobu, by wspiąć się na szczyt góry. Widocznie spodobał mu się mój wesoły ton i odwaga, bo ruchem łokcia podciągnął osunięte na biodra spodnie, chwycił z haka kaszkiet i poprowadził mnie wąziutkimi uliczkami aż do schodów pnących się w górę.

Im wyżej wchodziłam, tym bardziej rosła Marsylia. Ta marsylska kokieteria przypominała dziecięcy kalejdoskop, który po każdej zmianie szkła dodaje nowy obrazek: kolejne zwierzątko, kolejnego żołnierzyka.

Dotarłam zaledwie na wysokość przystanku windy, lecz już tam zdecydowałam, że panorama Marsylii przewyższa bogactwem widok Paryża z wieży Eiffla czy dachów najwyższej pracowni malarskiej na Montmartrze.

Rzeczywiście warto było pokonać ten kilometr schodów, by pozostać tu sam na sam z Marsylią.

Na zboczu góry przysiadły maleńkie żółte domki z błękitnymi, szarymi i jasnozielonymi okiennicami, nakryte czerwonymi dachami, które niczym ramy białego obrazu wyłaniają się spod warstwy śniegu.

Obok, na sznurach, wiatr kołysze rozwieszoną bieliznę.

Nieco dalej domek chowa się za domkiem, inny wspina się na plecy swojego sąsiada, jeszcze inny przewyższa wszystkich okolicznych rywali. A dalej, za nimi, morze domów wypełnia ogromną dolinę między spiczastymi górami, których białe szczyty sterczą ponad chmury i spoglądają ciekawie na niebo i życie jego błękitnych mieszkańców.

Im bliżej podchodziłam do świątyni, tym bardziej stawała się wyrazista, a miasto przeciwnie – z każdym krokiem naciągało kolejną tajemniczą zasłonę na swoje zbiorowe oblicze.

Ze zwodzonego kościelnego mostu nagle zobaczyłam wszystko: i całe niezmierzone, wzburzone morze, co tysiącem ostrych zębów wgryza się w brzegi miasta, i siwy górski łańcuch, który, jak kochanek, trzyma Marsylię w swoich mocnych, zazdrosnych objęciach, i niebo, które całym swoim ciężarem spoczęło na szczytach gór, grożąc nisko zawieszonymi chmurami, że zasypie miasto śniegiem i zatrze ślady jego światowej sławy. Marsylia pokryta śniegiem, chmurami, wydawała się zamierać, ginąć – podobnie jak bryła świątyni z dołu.

Na szczycie kościelnej wieży w każdym rogu stoją cztery figury aniołów-trębaczy, a między nimi

majestatyczna złota Opiekunka okrętów. Zazdroszczę jej, bo ze swojego szczytu sięgnąć może wzrokiem dalej niż ja. Zapewne widzi wszystkie statki kołyszące się na falach oceanów, morskie dno z soczystymi roślinami, fantastycznymi stworzeniami, błyszczącymi muszlami, złotym piaskiem i tańczącymi rybami, wszystkie ziemskie brzegi, a jej wzrok sięga zapewne aż po afrykańskie słońce i wysokie palmy.

Gniewny wiatr i chłód doradziły mi wejść do kościoła, jeśli nie chcę skamienieć i na zawsze pozostać tu niczym złota postać Opiekunki.

Co za niespodzianka! Zamiast szarych, ponurych murów i ciemności, które zwykle panują w kościołach, powitały mnie radosne, duże kolorowe okna, jasnobarwne, pokryte płytami ściany oraz liczne małe okręciki zawieszone na złotych sznurach u sufitu. Te barwne, misternie wykonane modele statków przypominały rajskie ptaki. Ze środka stropu zwisało sześć miniaturowych aeroplanów, jeden nad drugim.

Na jasnożółtym marmurze ścian wyrzeźbione są złote napisy: „Pani nasza, Opiekunko, wspieraj nas zawsze", „Dziękuję Ci, Cudotwórczyni, za ocalenie mojego syna", „Dzięki Ci składam, wszechmocna Zbawicielko, za Twoją łaskę i opiekę".

A ja chciałam zostawić taki oto napis: „Dziękuję Ci, dalekowzroczna przyjaciółko marynarzy, za Twój pogodny nastrój, za Twoje wspaniałe położenie i za Twoje niezwykłe piękno".

* Zbudowana w latach 1853–1864 katedra w Marsylii, na której dzwonnicy góruje jedenastometrowa statua Matki Bożej z Dzieciątkiem, opiekunki morza i marynarzy.

Pierwszy dzień w Marrakeszu

Odurzona wrażeniami – ciężkim zapachem spoconych ciał, pieczonej baraniny, łoju, pomarańczy, a także krzykiem, tańcem, murzyńską i arabską muzyką – powróciłam z arabskiego placu rozrywek.

Głowa wiruje mi niczym skrzydełka dziecięcego wiatraczka. Stoję w progu swojego pokoju, jedną ręką trzymam się ściany, drugą szukam włącznika elektrycznego.

Sufit zdaje się spadać mi na głowę, ściany falują, podłoga się wygina, a cały pokój buja się jak statek na wzburzonych wodach oceanu. Bezradnie zamykam oczy i padam na łóżko, które natychmiast unosi się ze mną w górę, wiruje gwałtownie, by raptem opaść gdzieś w bezdenną przepaść.

Pod moimi powiekami ukazuje się postać czarnej tancerki – z wykrzywionymi ustami, przewróconymi białkami oczu, odsłaniającej błyszczące białe zęby i czerwone podniebienie. Wije się gibkim ciałem, tupie bosymi stopami, kręci biodrami i podskakuje niczym kot rzucony na rozpaloną blachę.

Po chwili pojawiają się żmije – jedna, dwie, cały tuzin – splecione ciasno, pełznące sobie nawzajem po grzbietach, unoszące w górę swoje zatrute główki.

Zza tego kłębowiska wpatruje się we mnie uporczywie dwoje dzikich, szeroko rozwartych oczu Senegalczyka, który z przeraźliwym krzykiem skacze bosymi stopami po stłuczonym szkle. Zaraz potem tłum Arabów z obłąkańczą pasją biegnie gdzieś przed siebie, pchany zawodzeniem, gwizdami i melodią muzyki.

W końcu wszystko znika, tylko gdzieniegdzie przemyka jeszcze jakaś samotna, zagubiona sylwetka Araba wymachującego rozpaczliwie rękoma albo akrobaty wygiętego w pół na tle czerwonych murów miasta.

Podnoszę powieki.

Pokój już przestał wirować w pijanym tańcu, jedynie w uszach wciąż szumi mieszany gwar monotonnej arabskiej i przenikliwej mauretańskiej muzyki, dzwoneczków, bębnów, kastanietów, śpiewu oraz chaotycznych okrzyków rozwydrzonego tłumu.

Wszystkie te odgłosy przywodzą na myśl gwar panujący w dworskiej kuchni przed wielkanocnym świętem, gdzie warzą, pieką i smażą.

Powoli wszystko cichnie, myśli leniwie się rozpływają, a silne wonie marokańskiego powietrza mącą resztki mojej świadomości – zapadam w głęboki sen.

***

Dziś rankiem ukończyłam budowę słomianego szałasu i leżę teraz na miękkiej palmowej macie, zanurzając spojrzenie w lazurze nieba.

Słomiany szałas, chroniący mnie przed żarem słońca, wzniosłam na płaskim dachu wysokiego arabskiego domu. Stąd rozciąga się pode mną Marrakesz, którego domostwa zapełniły całą podgórską dolinę. Wysokie budowle stoją dumnie, otoczone niższymi domkami, kwadratowe kształty mieszają się z zaokrąglonymi, a na każdej płaskiej powierzchni dachów wystrzeliwują ku niebu smukłe wieżyczki.

Palmy i drzewa oliwne, rosnące pośrodku podwórzy, przerastają szczyty domów, rzucając na dachy długie cienie.

Czterdzieści wysokich minaretów, ozdobionych kolorowymi mozaikami, dumnie wznosi ponad miasto swoje wysmukłe wieże. Na dachach domów gdzieniegdzie widnieją barwne kobiece sylwetki lub grupki Arabek, siedzących na kobiercach i popijających herbatę, oświetlone czerwoną łuną zachodzącego słońca. A dalej, niczym strażnik miasta, niczym mur odgradzający Marrakesz od reszty świata, ciągnie się zaśnieżone pasmo gór Atlas.

Z placu arabskich rozrywek dolatują do mojego szałasu monotonne, trzytonowe dźwięki muzyki, śpiewu, gwaru tłumu oraz przeciągłe nawoływania muddena *, który z minaretu wysławia Allaha i wzywa wiernych do modlitwy.

Wiatr niesie ze sobą zmieszane wonie kwiatów, owoców, łoju, pieczonej baraniny i miodu.

Upajając się aromatami, jednostajnym rytmem muzyki i świergotem ptaków, osłonięta błękitem nieba, będę dla was opisywała majestatyczne piękno Marrakeszu i życie jego arabskich mieszkańców.

* Muezin.

Z piórem w ręce

Naprawdę nie wiem, od czego zacząć.

Taka moc wrażeń, zachwytu, niespodzianek, takie bogactwo oraz intensywność kolorów i kształtów, że zamiast przelewać słowo po słowie na papier, chciałoby się sfotografować to wszystko od razu i wysłać wam zdjęcie.

***

Wesoło tu i tak jasno, że chce się wspiąć na palce, wyciągnąć rękę ku niebu i pokłonić bogu słońcu. Jasnoróżowe i żółte ściany budynków zlewają się z jeszcze jaśniejszymi dachami, z soczystą zielenią drzewek pomarańczy, palm, cytryn i błękitem nieba.

Nie ma tu szarych budowli z czarnymi spiczastymi dachami, nie ma pokrytych pyłem zmęczonych drzew ani fabrycznych kominów, co w dzień i w nocy zasypują miasto czarnym dymem oraz zapachem benzyny i smoły. Ani pięter, ani rzędów ściśniętych okien, przypominających o istnieniu smutnych małych pokoi.

I nie ma tu miejskiej melancholii.

***

Zaniepokojona moją długą nieobecnością arabska gospodyni wyszła na dach, podeszła do namiotu i chyba już dziesiąty raz dziś powitała mnie słowami: *Labes, madame* *.

Lubię jej piękną twarz, brązowy i lśniący kolor skóry, smutne oczy i matowy głos. Wskazałam jej miejsce na skraju maty, a ona nieśmiało usiadła i zaczęła przyglądać się ruchom pióra na papierze. Jej obecność zupełnie mi nie przeszkadza. Przeciwnie, od czasu do czasu przenoszę wzrok na jej umalowaną pastelami twarz i rozkoszuję się pięknem kształtów i harmonią barw.

Zoria nie wychodzi z podziwu, wciąż wodzi oczyma za moją ręką, a później za moim spojrzeniem często błądzącym po dachach sąsiednich budynków.

Teraz z niepokojem wpatruje się w nieodległy minaret, na którym przed chwilą przyłapała moje spojrzenie, i zaczyna podejrzewać mnie o jakieś złe intencje wobec tej budowli. Aby uspokoić Zorię, wskazuję ruchem ręki na siebie, na pióro, a potem na wysoką palmę odznaczającą się wysmukłym konturem na tle błękitnego nieba.

Zoria zrozumiała:

„No, jeśli tylko palmę ona czaruje, nie ma to znaczenia” – radośnie klasnęła w dłonie i zaśmiała się bez smutku. (Arabowie mają bardzo przyjemny zwyczaj: śmiejąc się, nieustannie chwytają się za serca).

Teraz jej uwagę przyciąga moja stalówka, którą co pewien czas strząsam, żeby napłynął atrament. Wyciągam w jej stronę pióro, ale ona nie śmie go dotknąć, bo nadal jej się zdaje, że to jakiś przyrząd do uprawiania czarów. Muszę powiedzieć, że Zoria zachowała stare zwyczaje. Nie nosi jedwabnych pończoch, nie odsłania twarzy i jeszcze nie zajmowała się prostytucją, której oddają się tu wszystkie „cywilizowane” Arabki.

Pierwsze miejsca, jakie założyli tu Europejczycy, to kawiarnie i domy publiczne; później zabrali Arabom wszystkie budynki w centrum miasta, zhańbili je drewnianymi meblami, na ścianach wymalowali napisy *Hôtel Moderne*, *Hôtel Central*, w końcu zabrali się za korzystanie z arabskich dóbr.

Boli mnie niedola Arabów, ich urażona duma, ich upadek i niemoc.

Ale dość tego. I zakończę arabskim powiedzeniem: *Insz’ Allah* **.

* *Labes* – „Jak się masz”.

** Taka jest wola Allaha.

Allah jest wielki

Nie ma bóstwa oprócz Boga, a Mahomet jest jego prorokiem *.

Arabowie – fanatyczne, dzikie, beztroskie dzieci! Jedyna ich mądrość życiowa to wydarcie losowi tyluż radości, ile tylko się da, oszczędzenie sobie trudu i mozołu, i nieuznawanie innego Boga prócz Allaha oraz proroka Mahometa.

Jedynym prawem, które tu rządzi, jest prawo bogactwa.

Wielbiony jest ten tylko, kogo Allah w swojej łaskawości obdarzył majętnością, rozkoszami i dostatkiem. Im więcej złota i wielbłądów, im liczniejszy harem i głośniejsze jego śpiewy w nocy – tym szczęśliwszy żywot. A żywot szczęśliwy to żywot wieczny. Aby zgłębić istotę ich rozumowania, posłuchajmy starej mądrości Wschodu: „Rękę, której odciąć nie możesz – ucałuj!”. „Nie ma bóstwa oprócz Boga, a Mahomet jest Jego prorokiem!” – głosi muezin z minaretu, gdy jutrzenka dopiero wschodzi nad czerwonymi dachami Marrakeszu.

Już od świtu na wielkim placu w samym sercu miasta gromadzą się arabskie tłumy, jak co dnia, dla zabawy i rozrywki. Tu muzykanci, tam bajarze, mali chłopcy, ladacznice, tancerki, połykacze ognia, znachorzy, wróżbici, zaklinacze węży i handlarze daktyli, przypraw i słodyczy.

Największą jednak uciechą tłumu jest słuchanie opowieści.

W środku zgromadzenia stoi opowiadacz, przed nim siedzi dwóch niewolników z bębnami, wokół dzieci, dalej mężczyźni, którzy hojnie płacą, a w ostatnich kręgach – ci, którzy przyszli tylko słuchać.

Opowieść zaczyna się rytualnie: bajarz porusza głową, rękoma, całym ciałem w rytm wybijanych na bębnie taktów muzyki, zaś tłum wtóruje mu przeciągłym, śpiewnym okrzykiem. Potem wzywa on na pomoc Allaha, wszystkich świętych opiekunów Marrakeszu oraz Mahometa.

Jego słowa plączą się z dźwiękami bębnów i okrzykami pomocników. Po każdych trzech słowach bęben rozbrzmiewa trzema uderzeniami. Tak trwa to godzinami, a lud słucha jak zaczarowany, przymyka oczy, chłonąc każdą sylabę.

Treść tych gawęd jest różnorodna: żywoty świętych i cudotwórców, przygody sułtanów i ich wezyrów, opowieści o sławnych Arabach, a niekiedy też spryt bajarza każe mu nauczać sztuk i forteli: jak zdobyć majątek, jak wystrychnąć sąsiada na dudka.

Zakończenie zawsze takie samo:

– Kto da mi pięć sou, tego Allah pobłogosławi; od tego odwróci wszelkie choroby, jego dom napełni się światłem w niebie i na ziemi, tego wszyscy będą poważać, temu Allah w złocie wynagrodzi.

Każdy, kto ma przy duszy owe pięć sou, rzuca je gawędziarzowi – i odchodzi z sercem przepełnionym wiarą, że obietnica łaski Allaha dana z ust natchnionego spełni się w życiu doczesnym i wiecznym.

– Allah jest wielki, a Mahomet jest Jego prorokiem.

Dalsza część w wersji pełnej

* Słowa szahady, czyli islamskiego wyznania wiary (przyp. tłum.).

Spis treści

Okładka
Karta tytułowa
Marsylia
Notre Dame de la Garde
Pierwszy dzień w Marrakeszu
Z piórem w ręce
Allah jest wielki
Magiczne medykamenty
Połykacze ognia
Wężożerca
Tańce i słońce
Bajarz
Znajomość z kaidem
Herbata u kaida
W kawiarni
Spotkanie z kaidem
Odwiedziny
Szachownica
Nadia
Fatma
Pozwolenie
Ruszamy
Miraże
Grzbietami gór Atlas
W gościnie u Berbera
Odjazd
Na skraju oazy
Wielbłądy
Ustronie
Co nieco o turystach
Na arabskich dachach
Pożegnanie
Zdjęcia
Karta redakcyjna

Lublin 2025, wydanie pierwsze

ISBN 978-83-68178-48-7

© 1932 Sofia Jabłońska / text, photos
© 2025 Iwona Boruszkowska / translation
© 2025 Warsztaty Kultury w Lublinie / Polish edition

Wydawca / Warsztaty Kultury w Lublinie
Redaktorzy serii / Andrij Saweneć, Aleksandra Zińczuk
Redakcja / Aleksandra Nizioł-Rutkowska
Korekta / Teresa Markowska
Koordynacja / Olga Maciupa
Projekt okładki / Ewelina Kruszewska

Tekst według wydania: С. Яблонська, *Чар Марока*. Обгортка Романа Турина, Накладом книгарні Наукового т–ва ім. Шевченка, Львів 1932.

This book has been published with the support
of the Translate Ukraine Translation Support Program
Książka została opublikowana przy wsparciu
Translate Ukraine Translation Support Program

Projekt zrealizowany przy wsparciu finansowym Nagrody Krakowa – Miasta Literatury UNESCO,
realizowanej przez Krakowskie Biuro
Festiwalowe ze środków Gminy Miejskiej Kraków

Zdjęcia zostały zdigitalizowane przez Miejskie Archiwum Medialne w Centrum Historii Miejskiej
Europy Środkowo-Wschodniej we Lwowie

Dziękujemy Natalie Jablonskiej-Oudin oraz Veronice Homeniuk
za współpracę i wsparcie

Kontakt / Warsztaty Kultury w Lublinie
ul. Grodzka 5a, 20-112 Lublin
warsztatykultury.pl, +48 81 533 08 18
sekretariat@warsztatykultury.pl

Na zlecenie Woblink
woblink.com
plik przygotował Jan Żaborowski

Dotychczas w ramach serii wydawniczej Wschodni Express ukazały się:

Barykady na Krzyżu (2014) – Jurko Gudź
50 procent racji (2016) – Ołeksandr Bojczenko
Karbid (2016) – Andrij Lubka
Nogami do przodu (2017) – Andrij Bondar
Dzień poezji śmierci dzień (2017) – Andrej Adamowicz
Tłuścioch i leszcz (2017) – Andrej Adamowicz
Mały leksykon medyczny wg Bacharewicza (2017) – Alhierd Bacharewicz
Szczęśliwi nadzy ludzie (2017) – Kateryna Babkina
Pokój do smutku (2018) – Andrij Lubka
Sonia (2018) – Kateryna Babkina
Wakacje nad Letą (2018) – Hałyna Kruk
Cyrk i inne wiersze (2018) – Julia Cimafiejewa
Wasi, nasi oraz inni (2018) – Ołeksandr Bojczenko
Poprzednie życie (2018) – Mykoła Riabczuk
Punkt zerowy (2019) – Artem Czech
Frau Müller nie zamierza płacić więcej (2019) – Natalka Śniadanko
Wieczorne słońce (2019) – Wasyl Słapczuk
Obrazki litewskie (2019) – Herkus Kunčius
Żywoty (2019) – Ołeh Sencow
Worochtarium (2019) – Jurij Andruchowycz, Ołeksandr Bojczenko, Orest Drul
Dzielnica D (2020) – Artem Czech
Patriotyzm dla opornych (2020) – Kim Chun Ho alias Siarhiej Pryłucki
Marketer (2020) – Ołeh Sencow
Riki i drogi (2020) – Mark Liwin
Wszystkie ptaki, co we mnie… (2020) – Antologia współczesnej poezji łotewskiej
Twoje spojrzenie, Cio-Cio-San (2020) – Andrij Lubka
Nikt tak nie tańczył, jak mój dziadek (2020) – Kateryna Babkina
Tu mieszkał Jonasz (2021) – Marius Burokas
Wilk Jedno Oko (2021) – Juris Kronbergs
Porucznik Piatrowicz i chorąży Duch – Uładzimier Arłoŭ
Szatański pomiot (2021) – Zoltán Mihály Nagy
Ten sam kurz drogi (2021) — Wasyl Słapczuk
KGB i inne wiersze (2022) – Igor Pomierancew
Lustrzany sześcian (2022) – Łeś Bełej
Ostatni pocałunek Iljicza (2022) – Wano Krueger
Klara. Bande dessinée (2022) – Agnė Žagrakalytė
Planeta pożeraczy serc (2023) – Kristiina Ehin
osobista pustka (2023) – Aušra Kaziliūnaitė
Insekt (2023) – Lena Kudajewa, Oksana Sawczenko, Polina Położencewa
Zawartość męskiej kieszeni (2024) – Ołeh Kocarew
Charków 1938 (2024) – Ołeksandr Irwaneć
Najprzyjemniejsza chwila dnia (2024) – Piret Raud
Zdradzeni, wyklęci, oczernieni (2024) – Herkus Kunčius
Autoportret w postaci pestki awokado (2024) – Julia Cimafiejewa
Jak zostałam świętą (2025) – Tania Malarczuk
Czas miedzi (2025) – Slobodan Šnajder
Solea Minor (2025) – Evelin Márton
Lista obecności (2025) – Birutė Jonuškaitė
Mój pierwszy schron (2025) – Igor Pomierancew
Tom & Tom (2025) – Wasyl Słapczuk

Zapraszamy na stronę wydawnictwa:

wydawnictwo.warsztatykultury.pl

Spis treści

Okładka
Karta tytułowa
Marsylia
Notre Dame de la Garde*
Pierwszy dzień w Marrakeszu
Z piórem w ręce
Allah jest wielki
Spis treści
Karta redakcyjna

Punkty orientacyjne

1. Okładka
2. Strona tytułowa
3. Meritum publikacji
4. Spis treści
5. Strona redakcyjna